

O Macieja cudownej panlokacji

Maciej siedział przed komputerem, mrużył zmęczone od ekranu oczy, wczytywał się w obszerny artykuł o sytuacji politycznej w Europie Wschodniej. Nie była dobra. Maciej przez lata metodycznie zdobywał wiedzę nie tylko o sytuacji politycznej w tym miejscu, któremu media poświęcały coraz mniej uwagi, lecz także o sytuacji politycznej w ogóle, na świecie i w różnych jego zapomnianych stronach.

Wskazujący palec prawej ręki ciężko pracował, przesuwając myszką ekran, a lewa sięgała po krakersy. Maciej lubił wkładać w usta słone garście przekąski; w słone usta całe garście, później krztusił się, okruszy spadały z pełnej buzi na klawiaturę, zbierał je potem tym samym, zwilgoconym śliną, pracowitym palcem.

Maciej lubił sobie wyobrazać, że siedzi przed laptopem w modnej kawiarni zagranicznego wielkiego miasta. Maciej pił rozpuszczalną kawę ze szklanki z duralexu i lubił sobie wyobrazać, że mu smakuje.

Po skończonym artykule przeczytał trzy kolejne, a kiedy poczuł, że przyjęta dawka informacji wypełniła go poczuciem satysfakcji, podniósł z obrotowego fotela swoje imponującej wielkości dwudziestoletnie ciało i wyszedł, żeby się przewietrzyć.

Przekotysał się przez korytarz krągłymi biodrami, a z salonu słyszał krzyczące z telewizora reklamy i siorbącego piwo ojca. Mama w kuchni uwijała się, szykując obiad na dwadzieścia osób, który następnego dnia miała dowieźć na okoliczne przyjęcie. Mama obrażona, że nikt z domowników nie chce jej pomóc, a po pieniądze z tego nowo rozpoczętego biznesu, każdy łapę wyciąga – pracowała dwa razy szybciej niż wtedy, gdy była w coraz rzadziej zdarzającym się dobrym humorze.

Maciej usiadł ciężko na ławce przed domem. Kury dłużyły w ziemi, pies zaszczekał na przejeżdżający samochód, chłopak prowadził w głowie długie polityczne dysputy, a każdą z nich triumfalnie zwyciężał.

Polityka nie była jedynym zainteresowaniem Macieja. Wiedział wiele o kryzysie klimatycznym i ze swojej ławki często wieszczzył katastrofę; znał kulinarne trendy, którym uparcie opierała się mama, był przekonany o swojej wrażliwości na sztukę, wrażliwości, której jednak nigdy nie mógł sobie udowodnić umiejscowiony tu, w tej odległej od świata wsi, w której wyrósł jak drzewo.

Maciej siedział długo i wpatrywał się w rozciągające się przed nim pole. Siedział, aż zrobiło się ciemno.

Maciej otworzył lodówkę i najpierw zjadł dwa faszerowane kurczaki. Obgryzł dokładnie każdą kostkę, wysał szpik. Zjadł potężną miskę sałatki jarzynowej i śledzie w oleju. Opróżnił lodówkę półką po półce i rósł, aż zajął całą kuchnię, później całą

dom, aż znalazł się na polu i sięgnął tam, gdzie wzrok mu nie sięgał. A Maciej dalej rósł i rozciągnął się na cały świat, aż świata było za mało; wyrósł poza atmosferę i jak wszechświat jest już Maciej wielki i jak on wciąż się rozszerza.

O Joachima i Anny nie świętej historii

Kiedy czarne drzewa stoją na czarnym niebie, to dokąd miałby pójść?

Joachim był przystojnym mężczyzną. Lubił ubierać się modnie z nonszalancją, która pozwalała na udawanie, że trendy nie są dla niego niczym ważnym. Dużo czytał i dużo słuchał; słuchał zwłaszcza podcastów. To trochę niejako powrót radia tylko w nowoczesnym wydaniu – myślał i pewnie miał rację. Dzięki książkom i podcastom wiele o świecie wiedział, pozbywał się katolickich przesądów, w których miał nieszczęście się wychować, widział dalej, niż chciały jego lęki i narodowe kompleksy.

Joachim stoi na poboczu, sika. Ścieżki między pniami sięgają głęboko i wiją się jak węże – nie patrzy, a wie.

Silnik odpalony, Anna głowę ma zwróconą przed siebie, nie pamięta, na kogo czeka. Poszedł się tylko wysikać, ale Joachim wie, że ona nie pamięta, że czeka na niego.

Wsiada, ale wcześniej stanął, jakby nie był pewny, czy odlat się do końca, patrzy na wibrujący samochód; z dwóch stron oświetlony fragment drogi i dym. Wsiada, przejeżdża go zatęchłe ciepło, kierowczyni, kie-row-czy-ni, jeśli nawet drgnęła, to nie spostrzegł, bo nie patrzył na nią, ona na niego też nie.

Ruszyli, Joachim i Anna. Jechali, a mijane drzewa stały przy drodze upiorne – czy to oni tacy?

Kiedy siedziała niedawno w wielkim włochatym swetrze, który przecież musiał drapać jej skórę i wrażliwe bez stanika sutki, pozostawała nieruchoma, jakby to jej wcale nie dotyczyło.

I teraz, gdy jadą, a drzewa stoją upiorne lub to oni tacy, też jakby to nie o niej.

A on widział te drzewa i samochód, te czarne ścieżki, nawet kiedy nie patrzył, a kiedy na Annę miał spojrzeć, fala w nim zbierała i zaraz się dławił. Czasem krzyczał, choć adwersarza wzrokiem nie wyłaniał, raczej zaciskał wtedy mocno powieki i pięści i tylko przeczuwał, że to jej, jakby w żywicy zatopiona obecność pragnienie przemocy w nim budzi. Nie chciał jednak Joachim pomyśleć nawet o wymierzeniu żonie siarczystego go policzka, który przecież omdlałym świadomością często przywraca.

Anna straciła dziecko na wiosnę, choć dziecko to raczej religijna wizja tego, co faktycznie żyło w jej łonie, bo gdyby zebrać cechy dystynktywne, które miałyby o dziecięcości świadczyć, to obserwator zewnętrzny, powiedzmy kosmita, w antropologiczno-moralne dylematy niewykłany, raczej dziecka by w płodzie nie rozpoznał. Ale kiedy Joachim próbował jej to cierpliwie wytłumaczyć, jedną ręką obejmując ukochaną, a drugą gładząc jej zmierzniałe ramię, to ona spojrzała na niego długo i po raz ostatni.

Joachim budzi się, kiedy woda zalewa mu płuca. Ekstaza trwa jeszcze chwilę. Obok leży Anna, jej sina skóra, może to ona w różowych wodach tonęła.

O Moniki geometrycznej żadnej tajemnicy

Wracła do domu, nie śpiesząc się szczególnie. Taką miała przypadłość, że nigdy nie okazywała zniecierpliwienia: ani kiedy głód boleśnie ścisnął jej żołądek, a ziemniaki po dwudziestu minutach uczciwego gotowania wciąż pozostawały twarde, ani kiedy stała przy kasie z butelką wody, a pani przed nią próbowała wybrać najtwardszą szynkę. Teraz też pełzała z przystanku autobusowego w kierunku swojego bloku i nie myślała ani o tym, że serial rozpocznie się bez niej, ani że pęcherz od dłuższej chwili domaga się opróżnienia. Podniosła z ziemi listek, który należał wcześniej do młodej brzozy, a teraz już do niej. Z uwagą spoglądała na jego spiczasty kształt, włożyła za ucho.

Monika żyła w mieszkaniu po babci i nigdy nie przyszło jej do głowy, aby coś w nim zmieniać. Dlatego na środku dużego pokoju stała wersalka z kwiatowym obiciem, której tło stanowiła karmelowa meblościanka. Jak każda meblościanka również meblościanka Moniki miała witrynę, w której w równym rzędzie świeciły babcine kryształki. Dziewczyna, jak nic innego w tym skromnym domu, lubiła je czyścić i wpatrywać się w ich kanciaste wzory.

Wersalkę zastała niepościeloną. Z wdzięcznością pomyślała o swoim bałaganiarstwie, dzięki któremu mogła od razu po powrocie z zimnego dworu zakopać się w ciężkiej pościeli. Poszła do toalety, zakopała się w pościeli.

Monika była bałaganiarą i lubiła kłaść się w butach w pościeli.

Seks lubiła uprawiać we troje. Czasem towarzyszyli jej dwaj panowie, innym razem dwie panie, kolejnym – jeden pan i jedna pani. Ta ostatnia konfiguracja zdarzała się najczęściej nie z jej wyboru, a raczej z innych, niezależnych od niej przyczyn. Monika sprawiedliwie każde ciało obdarzała po równo swoją namiętnością. Płciowość, i cis, i trans, była jej nie tyle obojętna, ile równie droga, a kształty tych ciał kwitły na starej wersalce w swojej naturalnej różnorodności. Monika cierpliwie oddawała się pieszczotom, ze spokojem również zwiadała cudze ciepłe zgięcia, zakamarki.

Zeszłej nocy.

A teraz, po krótkiej mimowolnej drzemce, jakby nigdy nic jadła na obiad kalafiorową. Jadła kalafiorową, jakby normalne miała w życiu popędy. Brzuch opadał jej na krągłe uda, a usta ładnej buzi otwierały się za każdym razem, kiedy łyżka z zupą zbliżała się w jej kierunku.

Monika nie była świadoma skandalu, jakiego dopuszcza się codziennie, kiedy wykonuje rutynowe czynności, a dziś szczególnie – gdy gotuje tę zupę, której jeść jej zwyczajnie nie przystoi. Kalafiorową jedzą dzieci na niesmacznych szkolnych stołówkach, gości ona na niedzielnych rodzinnych stołach, ląduje w ustach staruszków karmionych przez troskliwe córki.

A Monika widzi trzy, gdy myśli o wieczności, wzruszona w stożek składa przed twarzą ręce, a kiedy patrzy na niebo, świecą jej trójkątne gwiazdy.

O Aliny niebrudnych ekskrementach

Alina lubi spacerować. Spacerowanie koi nerwy i wdychane chłodne powietrze. Czasem Alina kupuje kawę, dłonie jej marzną wysunięte z rękawów. Pies robi kupę, później Alina w nią wejdzie i będzie patykiem wydfubywać z podszwy. Ciekawe, ile rozkłada się gówno.

Czy zwierzęta wiedzą, że kiedyś umrą?

Alina była już dorosła i miała poważną pracę. Z trudem przyzwyczajała się do wąskich spódnic i jasnych koszul, które niełatwo było jej utrzymać w czystości do siedemnastej. Nachylała się głęboko nad stołem, kiedy jadła, powoli piła mleczną kawę, a jednak prawie zawsze jakiś odbryzg lądował na materiale. Przez resztę czasu w biurze, mniej lub bardziej pomyślnie, manewrowała ułożeniem rąk i ciała, aby ukryć niechlujność.

W ich domu zawsze było dużo pomarańczy. Rano wyciskała sok, rozlewała do dwóch szklanek, a do swojej dodawała miąższ, który zostawał na sitku. Alina wypijała swój szybko, jeszcze stojąc, on brał kilka łyków i odstawał. Alina podpijała z jego szklanki, kiedy chłopak zniknął w łazience. Udawał, że tego nie zauważa.

Popołudniami obierał kolejną pomarańczę i zjadał kawałek po kawałku; częstował ją, jeśli była w pobliżu. Nigdy nie sprzątał po sobie skórek, Alina z kwaśną miną robiła to za niego. W końcu ją powstrzymał – zostaw, lubię jak pachną.

– Dziwny dziś dzień. Bloki straciły kolor – powiedział innym razem, a Alina spojrzała na niego, jakby go nie znała.

Sama też lubiła sprzątanie odraczać, nie z prokrastynacji, a raczej z powodu flegmatycznego temperamentu; długo patrzyła na brud, zanim rozumiała, że nim jest. Słońce dawno już ujawniło lepkie miejsca na kuchennym blacie, zmoczyła gąbkę ciepłą wodą. Wyszorowała prawie wszystkie, jedno zostawiła – lepkie miejsce.

Alina wieczorami rozkładała w wolnym pokoju matę i ćwiczyła. W szybach obrazów odbiły się wyęzione pracą ramiona, patrzyła w dół, uda w przysiadzie wyrastały za kolana. Nie miały karmelowego odcienia, jaki lubiła sobie na nich wyobrażać. Próbowwała uznać za ładne różowo-fioletowo-morelowe plamki, które w rzeczywistości tworzyły koloryt jej wschodnioeuropejskiej skóry.

Uwolniła ze stanika nabrzmiałe piersi, ćwiczenia rozluźniły napięcie w podbrzuszu. Nie od razu wchodziła pod prysznic. Siadała w fotelu ze szklanką wody, obejmowała twarz ramieniem i ukradkiem je lizała.

Po długim prysznicu siadała koło niego na kanapie i oglądali seriale. Poliki miała wciąż czerwone, nogi wystające spod szlafroka – mokre. Błyszczące włosy aktorek. Zapamiętywała gesty, mimikę, lekkie odpowiedzi na trudne pytania.

Ten moment, kiedy zsuwała majtki, a w nich znajdowała szkarłatną niespodziankę. Upewniała się wtedy, że drzwi do łazienki zamknęła porządnie, siadała w napięciu na sedes i powoli w dwa palce ujmowała mazistą substancję, która wypelzła z głębokości ciała. Bawiła się przez chwilę: łączyła palce, odlepiła, zbliżała ubrudzone tak blisko twarzy, aż poczuła słodkawy zapach. Po kilku chwilach z pewnym żalem płuwała ręce pod kranem i obserwowała, jak czerwonawy wir ostatecznie znika w odpływie.